

# Widok z „lepszey” połowy Europy

Martin Pollack

---

**Tam gdzie spotykają się Wschód i Zachód, potrzeba wiele wysiłku i cierpliwości, aby demontować istniejące uprzedzenia, przewycięzać lęki i podejmować z sąsiadami prawdziwą rozmowę. Wciąż bowiem wielu ludzi na Zachodzie spogląda z lekceważeniem bądź brakiem zainteresowania na kraje, które leżały za „żelazną kurtyną”.**

---

Patrzy zatem nasz bogaty Europejczyk z Zachodu na Europę Wschodnią – i cóż tam widzi? Cóż, przykładowo, dostrzega syty Austriak, gdy swoją uwagę skieruje, wbrew starym nawykom, nie ku Zachodowi ani nawet, co zdarza mu się przecież częściej, nie ku nastrojom i troskom o własny dobrobyt i swoją pomyślność? Cóż więc dostrzeże ów Austriak, gdy wyjątkowo spojrzy na tę część Europy, którą przywykliśmy nazywać – geograficznie nieprecyzyjnie i politycznie niepoprawnie – Europą Wschodnią? Albo, zapytajmy inaczej: czego mieszkaniac zachodniej połowy Europy spodziewa się po tychże krajach? Czego może tam oczekiwać?

Pytania to uzasadnione, gdyż pomiędzy wyobrazeniami a rzeczywistością rozciąga się często prawdziwa czeluść. Wmawiamy sobie, że coś widzimy, jesteśmy przekonani, że coś znamy, tworzymy sobie mocny, niezbity pogląd o czymś – podczas gdy w rzeczywistości są to jedynie nasze domniemania, powzięte z góry opinie, wręcz uprzedzenia, które nie wytrzymałyby solidnej konfrontacji z realiami. Wszelako zazwyczaj nie myślimy w ogóle o takiej konfrontacji, nawet nie przyjdzie nam do głowy, aby z własnej i nieprzymuszonej woli pożegnać się ze stereotypami, które często przejęliśmy jeszcze od naszych ojców czy praojców.

Nasze postawy wobec Europy Wschodniej – i znowu to nieprecyzyjne, magmowate pojęcie! – przez wiele lat były kształtowane przez takie właśnie pochopne sądy, fałszywe wyobrażenia i klisze.

## Europa Wschodnia – gdzie to jest?

Kłopoty zaczynają się już w chwili, gdy próbujemy konkretniej zdefiniować samo pojęcie. Bo gdzie leży Europa Wschodnia? Gdzie są jej granice na zachodzie, a gdzie na wschodzie? Jakie kraje do niej zaliczamy? Czy jest dziś w ogóle jeszcze dopuszczalne

używanie takiego pojęcia? Czyż nie powinniśmy mówić raczej o Europie Środkowo-Wschodniej, Europie Północno-Wschodniej i Europie Południowo-Wschodniej? Wcale nie tak dawno powszechne było przekonanie, że Europa Wschodnia obejmuje

**Kielkowało w nas  
podejrze­nie, że nasi  
sąsiedzi z za „żelaznej  
kurtyny” może wcale  
nie byli bez winy i może  
nawet byli współwinni  
temu, że popadli w tak  
przykre położenie.**

te tę część naszego kontynentu, którą zamieszkują narody słowiańskie. Zresztą wyobrażenie to ciągle jeszcze straszy, ciągle jeszcze wcale nie ma­ło umysłów podziela ów absurdalny pogląd. Bo cóż wspólne­go ze Słowiańszczyzną mają Węgrzy, Albań­czycy, Rumuni, Mołdawianie, Litwini, Łotysze i Estoń­czycy? Czy oni nie przynależą do Europy Wschodniej? Czy należy zaliczyć ich może do Zachodu? Bynajmniej.

To jednak nie koniec kłopotów: również w kategoriach geograficznych – a w każdym razie z perspektywy Austrii – Europa Wschodnia wymyka się jasnej, przekonującej definicji.

Wystarczy spojrzeć na mapę, aby stwierdzić, że Praga położona jest bardziej na zachód niż Wiedeń, podobnie jak Lublana, Rijeka czy Szczecin. A miasta te bez dłuższego zastanowienia przyporządkujemy Europie Wschodniej, choć ich mieszkańcy widzą się w Europie Środkowej. Pozostaje konstatacja, że za pomocą naszych map i atlasów niewiele zwojujemy w tej dyskusji; lepiej zatem je odłóżmy.

Europa Wschodnia, o której tutaj mówię, nie była pojęciem geograficznym, lecz politycznym – była identyczna z terenami, które po 1945 roku zostały włączone w sferę wpływów Związku Sowieckiego. Przez kolejne dziesięciolecia my, ludzie Zachodu (oczywiście również i to pojęcie, używane w takim kontekście, jest tak samo nieprecyzyjne i wątpliwe co określenie Europa Wschodnia), mówiliśmy ogólnie i lekceważąco o „państwach bloku wschodniego” bądź też, jeszcze prościej, o „bloku wschodnim”. Jak gdyby chodziło tutaj o jakieś jednolite i zwarte terytorium, pozbawione istotniejszych różnic czy granic, o obszary, na których wszystko w jakimś sensie miałyby być takie samo lub choćby podobne, i polityka, i gospodarka, i życie, i myślenie ludzi, ba, nawet miasta i wsie. Tylko krajobrazy były odmienne, ale tych przecież niemal nie znaleźliśmy, bo rzadko podróżowaliśmy do tych krajów. Zresztą jeśli chodzi o to ostatnie, zmieniło się niewiele, poza paroma niewielkimi wyjątkami. Podróż, powiedzmy, na Ukrainę albo też do Mołdawii uchodzi tak jak kiedyś za przedsięwzięcie niemal ryzykowne; wielu zwyczajnie boi się tam jechać, *sicher ist sicher*.

W naszych wyobrażeniach obszary te charakteryzowały nieodmiennie takie pojęcia, jak zacofanie i bieda, brak politycznej wolności i narzucona *urawniłowka*, wszystko tam po drugiej stronie wydawało się nam żałośnie nędzne, niewiele warte, po prostu gorsze. A czasem także groźne. W naszych oczach kraje wschodnioeuropejskie, postrzegane jako pewna całość, jawiły się jako gorsza, parszywa, bezbarwna wersja naszego świata, który za sprawą porównania z niegościnnym Wschodem doświadczał oczekiwanego dowartościowania.

## Bogaci, dumni i zarozumiali

Przez długie lata wszystko to kształtowało również nasze zachowania. Pewność, że naszym domem jest lepsza połowa Europy, napełniała nas dumą i czyniła nas zarozumiałymi wobec naszych wschodnich sąsiadów, w których widzieliśmy kogoś w rodzaju ubogich krewnych. Tak, ubogich krewnych, którzy od czasu do czasu mogli liczyć na naszą pamięć, okazywaną pod postacią jałmużny. Przy czym, rzecz jasna, woleliśmy, aby w takich razach zachowywany był odpowiedni dystans, tak by czasem nie podeszli do nas zbyt blisko. Tak jest z biednymi krewniakami: z reguły są tolerowani, rzadziej kochani.

Poczucie wyższości połączone z litością – która przy pierwszej lepszej okazji mogła zamienić się w nietolerancję, jeśli nie od razu w odrzucenie – skutkowało zaś tym, że Czechów, Słowaków czy Polaków, nie mówiąc już o Ukraińcach czy Białorusinach (z których istnienia ledwo zdawaliśmy sobie sprawę), traktowaliśmy często z protekcyjnością tak lekceważącą, że graniczącą wręcz z chamstwem, na jakie nigdy nie pozwolilibyśmy sobie wobec Anglików, Francuzów bądź Włochów. Wszelako oni byli nam równi, być może nawet w tym czy innym nas przewyższali. Tymczasem nasi sąsiedzi na Wschodzie byli po prostu pod wieloma względami gorszy. Byli biedakami, pechowymi nieborakami, a my dawaliśmy im to odczuć. I jak to zwykle w relacjach z ubogimi krewnymi bywa, nie widzieliśmy nic niestosownego w tym, że traktujemy ich z góry. Albo że udzielamy im różnych dobrych rad, choć nie mieliśmy pojęcia o tym, jak żyją. A jeśli oni puszczały nasze pouczenia mimo uszu, uważaliśmy to za oznakę głębokiej niewdzięczności – w końcu to my byliśmy zamożnymi ludźmi z Zachodu, to my odnieśliśmy sukces, to my byliśmy Zachodem, którego oni powinni słuchać.

Z biegiem czasu kiełkowało w nas podejrzenie, że sąsiedzi zza „żelaznej kurtyny” być może wcale nie byli bez winy. Kto wie, może nawet byli trochę współwinni temu, że popadli w tak przykre położenie? Być może, chociaż część winy za swój żałosny los powinni przypisać sobie samym? W końcu nam – czy też może raczej: naszym ojcom i dziadom – udało się odbudować po wojnie kraj, także leżący w gruzach, i własnymi rękami wypracować dobrobyt. Musiała więc istnieć jakaś szczególna przyczyna, dla której tym za „żelazną kurtyną” nie dane było odnieść takiego sukcesu i że ich kraje staczały się z jednego kryzysu w drugi. Czy rzeczywiście powodem tego miałyby być jedynie system polityczny? A może i to, że oni, mieszkańcy Europy Wschodniej, byli jednak mniej ambitni, mniej pilni, mniej pracowici niż my?

Tamta Europa Wschodnia, wytwór „zimnej wojny”, zniknęła z map wraz z rozpadem Związku Sowieckiego i klęską komunizmu. Odbłyło się to niesłychanie szybko, o wiele szybciej, niż odważyliby się przewidywać największy optymiści. A potem

równie dynamicznie i ze zdumiewającą odwagą dokonało się rozszerzenie na Wschód procesu europejskiego zjednoczenia. Mało kto spodziewałby się takiej odwagi po europejskich politykach. Tym boleśniej odczuwamy fakt, że w ostatnich latach rozmach tego procesu wyraźnie osłabł.

## Stara pieśń o hordach

Porywający niegdyś entuzjazm dla zjednoczonej Europy bez granic został dziś zastąpiony przez dręczące wątpliwości. W ofensywie są teraz narodowe egoizmy, myślenie małostkowe, drobiazgowość, małoduszność. W niektórych krajach – nie tylko, ale także w Europie Środkowej i Wschodniej – na popularności zyskuje też myślenie nacjonalistyczne, wrogość wobec mniejszości. Dla wielu ludzi z Zachodu staje się ono pretekstem do tego, aby na powrót odwrócić się od Wschodu, który nagle wydaje się znów nieobliczalny i zagrażający.

Tymczasem podobne tendencje istnieją również w zachodnich demokracjach, w krajach przez długie lata uchodzących za wzorzec polityki liberalnej i otwartej na świat, jak na przykład Holandia, Dania, Szwecja i Norwegia.

Nie mamy zatem żadnego powodu, abyśmy my, ludzie z Zachodu, mieli rzucać dzisiaj karcące spojrzenia na Wschód i ostrzegać przed umocnieniem się nacjonalistycznych partii i ugrupowań w krajach Europy Wschodniej – jak to często się dzieje. Powinniśmy raczej pochylić się nad różnymi tendencjami we własnych ojczyznach. Także w Austrii, gdzie polityk, który propaguje idee nacjonalistyczne i odwołuje się do wrogości wobec cudzoziemców, może całkiem realnie liczyć na to, że z takim właśnie programem wygra za kilka lat wybory i będzie tworzył rząd.

Do repertuaru, po który sięgają politycy takiego pokroju, należy również – rzecz niemal oczywista – podsycanie lęku przed Wschodem, przed dzikimi hordami, które napłyną z tego bliżej niezdefiniowanego regionu przez otwarte granice, aby rabować i plądrować. Albo przynajmniej po to, żeby odbierać nam nasze miejsca pracy. Takie argumenty nie są nowe. One są wręcz prastare – w takie tony uderzali już w czasach monarchii habsburskiej politycy reprezentujący tak zwaną opcję niemiecko-narodową.

Mieszkam w południowej części Burgenlandu [jeden z krajów związkowych Republiki Austrii, najbardziej wysunięty na wschód – przyp. red.], blisko granicy z Węgrami i Słowenią. Granica ta dziś, gdy oba kraje należą do Unii Europejskiej, nie ma już znaczenia. Jednak cały czas wydaje się, jakby ta granica nadal istniała. A przynajmniej w głowach. Pomiędzy południową częścią Burgenlandu a pogranicznymi regionami Węgier i Słowenii nie ma żadnej poważniejszej interakcji. Ludzie z mojej okolicy zwykle popatrują krzywo i ze sceptycyzmem na drugą stronę, stare lęki i nieufność pozostają wciąż żywe. I są na nowo intensywnie podsycane.

Tymczasem przed rokiem 1918 Burgenland przynależał nie do austriackiej, lecz do węgierskiej części dualistycznej monarchii Habsburgów, można by więc powiedzieć, że na nowo zrasta się teraz to, co dziewięćdziesiąt lat temu było już zrosnięte. A jednak niewiele pozostało obecnie z niegdysiejszych więzi, które historycznie łączyły nas z tamtą „drugą stroną”. Zostały poprzecinane już dawno temu, a nowe nawiązują się powoli i z oporami. Kiedy mają być otwarte stare drogi, które przed rokiem 1989 przecinała „żelazna kurtyna”, po austriackiej stronie zawsze wywołuje to sprzeciw. Wielu mieszkańców austriackiego pogranicza nie życzy sobie takiego otwarcia.

Istniejący nadal dystans wyraża się również w zupełnej nieznanomości języka sąsiadów. Nie byłoby to może takie niezwykle, gdyby nie fakt, że kiedyś, dawno temu, uważano

za oczywiste, iż wielu mieszkańców Burgenlandu zna węgierski, a czasem również chorwacki (mieszka tam mniejszość chorwacka). Dziś taka wielojęzyczność jest czymś wyjątkowym – przynajmniej w Burgenlandzie. Po drugiej stronie granicy bowiem, czyli na Wschodzie, jest inaczej; wielu młodych ludzi mówi tam po niemiecku.

Podobnie jest w innych miejscach w Europie, gdzie spotykają się Wschód i Zachód. Potrzeba sporo wysiłku i jeszcze więcej cierpliwości, aby demontować istniejące uprzedzenia, przezwyciężać lęki, podejmować z sąsiadami prawdziwą rozmowę. Prawdziwą to znaczy nie tylko z okazji łzawych imprez rocznicowych, podczas których drążącym głosem wygłaszane są piękne przemówienia, a ich uczestnicy obejmują się i całują. Prawdziwą, czyli zwykłą, prowadzoną na co dzień.

Można by powiedzieć, że wydarzenia polityczne nie tylko wyprzedzają dziś myślenie ludzi, ale że ludzie, z ich starym myśleniem, pozostają daleko w tyle za zmianami, które niesie im polityka. To zdumiewające i zawstydzające, ale wszelakie granice, mury i bariery nieufności zdają się zanikać w ludzkich umysłach o wiele wolniej, niż odbywa się to w konkretnej polityce; w tym, co po niemiecku nazywamy *Realpolitik*. Okazuje się, że trudniej jest ruszyć z posad bryłę uprzedzeń i obojętności wobec sąsiadów niż najbardziej nawet nieruchawe systemy polityczne.

Rzecz jasna, dotyczy to również naszych postaw. One także nie zmieniły się dotąd w zasadniczy sposób – i ciągle jeszcze wielu ludzi na Zachodzie spogląda z lekceważeniem bądź też z brakiem zainteresowania na kraje, które leżały za „żelazną kurtyną”, na ich mieszkańców i kulturę. Każdy, kto ma do czynienia z literaturą, mógłby opowiadać o tym godzinami. Na niemieckojęzycznym rynku książki o wiele trudniej jest wypromować nieznanego autora polskiego bądź czeskiego, a tym bardziej ukraińskiego, niż nieznanego autora amerykańskiego, włoskiego czy francuskiego. Gdyby zapytać ekspertów, wydawców, księgarzy i recenzentów, dlaczego tak się dzieje, w odpowiedzi wruszą tylko ramionami. Po prostu tak już jest – i tyle.

**W ofensywie są narodowe egoizmy, w niektórych krajach na popularności zyskuje myślenie nacjonalistyczne, wrogie wobec mniejszości.**

## Ach, te trudne nazwiska...

W sferze kultury również, jeśli nie przede wszystkim, potrzeba dużo wytrwałości i cierpliwości, aby przełamać stare wzorce myślenia i doprowadzić do jakichś zmian. Często okazuje się przy tym, że obojętność i brak zainteresowania manifestują się w pozornych drobiazgach. Weźmy na przykład kwestię pisowni nazwisk. Ktoś mógłby powiedzieć, że to mój kaprys, koncentrowanie się na rzeczy na pozór

**Porywający niegdyś entuzjazm dla Europy bez granic został dziś zastąpiony przez dręczące wątpliwości.**

tak drugorzędnej. A jednak jestem przekonany, że niechlujne traktowanie pisowni obcych nazwisk, zwłaszcza tych z Europy Wschodniej, z jakim mamy do czynienia na Zachodzie, nie bierze się z niczego.

Na przykład w austriackich gazetach na porządku dziennym jest zniekształcanie nazwisk polskich, czeskich czy węgierskich – i wydaje się, że nikomu to nie przeszkadza. Nawet renomowane ogólnokrajowe pisma nie są pewne, jak poprawnie pisze się nazwisko znanego polskiego konserwatywnego polityka – Kaczinski, Kaczinsky, Kacsinsky czy też może Kaczyński. Sam przez wiele lat walczyłem o poprawną pisownię (zapomnijmy już o wymowie) nazwiska Kapuściński – i była to walka z wiatrakami. Tymczasem w przypadku choćby nazwisk francuskich polityków czy pisarzy – czasem także niełatwych – każdy zwraca uwagę, aby wszystko było poprawne aż do ostatniego akcentu.

Bałaganiarstwo panujące w tej dziedzinie, będące zarazem oznaką lekceważenia lub/i poczucia wyższości, ma długą tradycję. Poruszałem już ten temat wielokrotnie. Po raz pierwszy w eseju opublikowanym w 1985 roku, pod prowokacyjnie brzmiącym wówczas tytułem: *Apel o uwschodnienie Wiednia*.

Pisałem wtedy: „Jest oczywistą oczywistością, że spora część nazwisk w wiedeńskiej książce telefonicznej ma pochodzenie słowiańskie albo madziarskie. Jest rzeczą tym bardziej irytującą, że doprawdy bardzo niewielu tubylców jest w stanie albo/i wykazuje dobrą wolę, żeby stosować ich poprawną pisownię, nie wspominając już nawet o ich poprawnej wymowie. (...) A przecież to nie jest tak, że wiedeńczyków miałyby cechować jakaś niechęć do obcych nazwisk: nazwiska francuskie czy angielskie są tu wręcz uwielbiane. Zważmy, na przykład, z jaką starannością i płynnością prezydenturzy wiadomości potrafią wyrecytować listę członków francuskiego rządu. Nie ma po prostu takiej możliwości, aby tutaj wkraść się choćby najmniejszy błąd; ten, kto tylko położyłby akcent na nieprawidłowej sylabie, jest dożgonnie skompromitowany! Zupełnie inaczej wygląda to, gdy chodzi o nazwiska polityków czy innych prominentnych osób z Węgier albo z krajów słowiańskich. Tutaj supląją się języki, tutaj zmartwychwstaje radośnie kulturowy imperializm: kogóż w końcu interesuje, czy poprawnie wymawiane są nazwiska przywódcy polskich robotników albo węgierskiego kompozytora?”

Mój lament powstał ponad ćwierć wieku temu, ale od tego czasu niewiele się zmieniło, a nasze nastawienie wobec sąsiadów ze Wschodu nadal cechują brak zainteresowania, niewiedza i uprzedzenia – nawet jeżeli sąsiedzi ci są już od dawna pełnoprawnymi członkami zjednoczonej Europy, a ich sytuacja gospodarcza jest dziś niewiele gorsza od naszej. Kiedyś odpowiedzialnością za taki stan rzeczy obwinialiśmy politykę, „żelazną kurtynę”, którą nie my przecież zbudowaliśmy, ale oni, ci z drugiej strony. I to właśnie „żelazna kurtyna” miała rzekomo zasłaniać nam widok na Wschód, miała być winna temu, że nasze relacje nie były normalne, to ona miała sprawiać, że nie szukaliśmy kontaktu z ludźmi z tamtej strony.

## Zły nastrój poety

„Żelaznej kurtyny” już nie ma. Zniknął drut kolczasty i pola minowe, granice są otwarte. Nawet narody zamknięte kiedyś w Związku Sowieckim mają od dwudziestu lat swoje państwa, które można swobodnie odwiedzać – są tam dobre hotele, restauracje i żyją tam tak samo wyrafinowani intelektualiści jak na Zachodzie. Mimo wszystko, najwyraźniej owa kurtyna istnieje nadal, jakby nigdy nic.

Jak to możliwe? Jak mamy to sobie wytłumaczyć? Dlaczego tak trudno wypłenić tę niewiedzę i ignorancję akurat w odniesieniu do Europy Środkowej i Wschodniej?

Sądzę, że przyczyny tego są głównie natury historycznej. Uprzedzenia wobec wschodnich sąsiadów sięgają głęboko w historię, aż do XIX stulecia, a może nawet głębiej. A jak wiadomo, takie uprzedzenia są najbardziej żywotne i najtrudniej jest je wytepić.

Mówię znowu o Austrii, choć w innych krajach zachodnich jest zapewne podobnie. W Austrii brak zrozumienia dla historii i zwyczajów narodów Europy Wschodniej ma długą i niechlubną tradycję. Zanim rozpadła się monarchia habsburska, w jej austriackiej części orientowano się głównie na Zachód – chociaż Wiedeń był nie tylko metropolią ludności niemieckojęzycznej, lecz także stolicą dla Polaków, Rusinów (jak nazywano wówczas Ukraińców), Czechów albo Słoweńców. Jednak te regiony i narody już wtedy irytowały niemieckojęzycznych Austriaków, wywoływały u nich nieufność i niechęć, a w najlepszym razie obojętność. Kogo było na to stać, ten już wówczas spędzał urlop w austriackich górach, nad austriackim morzem lub choćby nad austriackim jeziorem, ale nie w Böhmen (jak zwano wówczas Czechy) ani nie na równinie rozciągającej się pomiędzy Dunajem a Cisą, ani, Boże zachowaj, nie w jakiejś Galicji. Jeśli ktoś już tam trafiał, to w konsekwencji służbowego przeniesienia, przy czym przeniesienie takowe traktowano powszechnie jak zesłanie.

**W austriackich gazetach na porządku dziennym jest zniekształcanie nazwisk ludzi z Europy Wschodniej – i wydaje się, że nikomu to nie przeszkadza.**

A jeśli ktoś odważył się wyruszyć w podróż w tamte rejony, ten rozplątywał się, tyle że w skargach. Na przykład austriacki poeta narodowy Franz Grillparzer (1791-1872), zrzęda i mizantrop, który tak notował w pamiętniku podczas podróży po Czechach: „Gdy tylko mija się czeską granicę, jedzie się gorzej, wolniej. Czy to tylko ja tak sobie wmawiam, czy też może okolica, w gruncie rzeczy nie taka zła, w istocie swej jest – jak miałbym to określić? – bardziej nudna, bardziej cierpka, bardziej dzika niż w Austrii? (...) A żebracy na poboczach dróg bardziej liczni i bardziej bezwstydni?”.

Gdy tenże Grillparzer odwiedził kiedyś Budapeszt, musiał być naprawdę w złym nastroju. Zapisał bowiem: „W ustach kobiet język tutejszy brzmi po prostu okropnie. U mężczyzn już trochę lepiej, ale jakoś tak zjadliwie. (...) Rzuciłem okiem na parę rzeczy. Muzeum, akademia, co tam jeszcze? Czuję się autentycznie chory. Obiad u Takatscha [popularne węgierskie nazwisko – przyp. red.]. (...) Mało co zjadłem, za to wlałem w siebie kilka kieliszków mocnego wina na chandrę. (...) Do domu, spakowany, zirytowany. W gospodzie najgorsza obsługa, z jaką kiedykolwiek się spotkałem. (...) Około ósmej do węgierskiego teatru, jakiego jeszcze nie widziałem. Wystawiali *Cyrulika sewilskiego*. Powiedzieć, że przedstawienie było słabe, byłoby niskim pochlebstwem. Było poza wszelkim wyobrażeniem”.

Podobnie reaguje dziś jeszcze wielu Austriaków (i nie tylko Austriaków), gdy patrzą na Wschód. Z negatywnym z gruntu nastawieniem, nieufnie i zawsze z przekonaniem, że u nich w domu, na Zachodzie, wszystko jest o niebo lepsze. W tym sensie Grillparzer okazuje się aktualny. Również w tym, że wielki austriacki poeta narodowy pisał bez żenady „Takatsch” zamiast „Takács”. Chciałoby się rzec: nic nowego. 🏰

Przełożył Wojciech Pięciak

Martin Pollack jest austriackim pisarzem, dziennikarzem, tłumaczem literatury polskiej. Autor między innymi książek: *Po Galicji* (1994), *Ojcobójca – przypadek Filipa Halsmanna* (2002), *Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu* (2004), *Sarmackie krajobrazy* (2005), *Dlaczego rozstrzelali Stanisławów* (2008), *Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji* (2011).